

Don Kichot z mikrofonem

Historia całkiem fajnego gościa, który nie trafił w swój czas. Przy okazji bolesna prawda o polskiej piłce, bo jeden mecz niczego nie zmienia...

16 czerwca 1986 roku. Mundial. Czas kiedy nawet najwięksi ignoranci próbują pojąć znaczenia słowa spalony. Tak jakby zwroty *linia obrony*, *moment podania*, *chorągiewka w górze* i *nie ma gola* były nie do opanowania. Może i są, ale nie w Polsce. Przynajmniej nie wtedy. Wtedy przecież każdy znał się na piłce. Potrafił jednym tchem wymienić wszystkich zawodników reprezentacji, łącznie z masażystą, trzecim trenerem i kierowcą autokaru. Ludzie zaczynali dzień od kawy, wiadomości sportowych i głosu Darka Szpakowskiego.

Jechał do Meksyku jako wschodząca gwiazda polskiej telewizji zastąpić w narodowej świadomości Jana Ciszewskiego. Oczami wyobraźni widział swoje wywiady z polskimi mistrzami świata. Wyszło nieco inaczej. Ale żeby była jasność – przygotowany na sławę to on był. Tylko piłkarze trochę mniej. Poza wątpliwym zaszczytem komentowania srogich porażek z Anglią i Brazylią, ciągłego wyjaśniania zachodnim komentatorom gdzie ta Polska właściwie leży i jak poprawnie wymawiać nazwiska naszych obrońców, trafiło mu się coś znacznie gorszego. Gniew Bogów. To jemu bowiem Zbigniew Boniek przed kamerą oznajmił, że kończy reprezentacyjną karierę. Opuszcza ziemskie miernoty i zasiada na Piłkarskim Olimpie – obok innych nieśmiertelnych. Dorzucił też coś o słabości polskiego futbolu i 20 kolejnych latach bez udziału w wielkich imprezach. Nikt wtedy nie doceniał wagi tych słów. Nie doceniał ich przede wszystkim nasz bohater – Dariusz. Szkoda. Może zdążyłby uciec z tonącego okrętu na czas. A tak całkowicie nie ze swojej woli stał się symbolem upadku polskiej piłki. Jeździł chłopina po świecie i komentował turnieje i piękne bramki. Turnieje na których grała Nigeria, Jamajka, Słowenia. Nawet Kostaryka. A nasi? Naszych nie było. Leżeli w rowie z kacem kolejnych eliminacji. Leżała cała polska piłka. Podniosła się tylko na chwilę i zapakowała w pociąg do Korei. Tam już czekał Dariusz. Po raz kolejny gotowy na nadchodzącą sławę. Tym razem miało być dobrze. Nawet pięknie. Albo jeszcze lepiej! Miało być jak nigdy – wyszło jak zawsze. Najpierw koreański tajfun wybił mu z głowy medale, potem portugalskie tsunami zważyło z nóg i przypomniało największe klęski w historii. Na koniec nawet ukochana piosenkarka pokazała środkowy palec wykonując hymn narodowy. Przeżył to bardzo. Jak my wszyscy. Potem były jeszcze pociągi do Niemiec, Austrii i Szwajcarii. Szkoda, że nie w jedną stronę. Bo za każdym razem wracali ci nasi kopacze równie upokorzeni, co bezsilni. Wracał też Darek. Też upokorzony. Też bezsilny. Jednak zawsze z tą samą nadzieją w głosie, że następnym razem będzie lepiej.

Za rok będzie kolejny pociąg, na który od dawna ma bilet. Ale może tym razem po powrocie schowa mikrofon do szafy i zdjęcie obraz Ciszewskiego ze ściany nad łóżkiem. Może zrozumie, że lata 70 nie wrócą, a duma ze swoich piłkarzy była wyłącznym przywilejem przodków. Jeśli się pośpieszy to rozwinie inną pasję – hokej. Naszym podobno idzie coraz lepiej...

<http://zibenowskie.blogspot.com/>

Autor: Ziben

Artykuł pobrano ze strony eioba.pl